

ROZMOWA

Euro to także korzyści polityczne

Gdyby Polska zadeklarowała gotowość przystępowania do wspólnego obszaru walutowego, to skończyłaby się dyskusja o Europie dwóch szybkości – mówi **prof. Grzegorz W. Kołodko**, b. wicepremier i minister finansów.

BOGUSŁAW CHRABOTA

Jak co roku 1 stycznia apelujemy o przyjęcie w Polsce europejskiej waluty. Był pan jednym z pierwszych i głównych koryfeuszów tej idei. Czy nadal pan ją popiera?

GRZEGORZ W. KOŁODKO: Tak, popieram, chociaż mam już mniej złudzeń co do tego, że obecna władza zechce je wprowadzić. Na gruncie ekonomicznym nie mam wątpliwości, że byłoby to korzystne dla polskiej gospodarki. Również w kategoriach politycznych poprawiłoby to pozycję Polski. Oczywiście, teoretycznie biorąc, przy bardzo dobrej polityce ekonomicznej można także z powodzeniem funkcjonować poza obszarem euro, ale więcej można osiągnąć taką polityką, mając euro.

Co dziś najbardziej przemawia za wprowadzeniem Polski do strefy euro?

Dzisiaj bardziej względy polityczne niż ekonomiczne. Gdyby rząd, bank centralny, prezydent stwierdzili, że zaczynamy przystępować do euro – bo to jest proces, trzeba spełniać kryteria konwergencji, wynegocjować korzystny kurs referencyjny, zmienić zapis w konstytucji, który mówi, że złoty jest obowiązującym środkiem płatniczym – gdyby Polska tylko zadeklarowała gotowość do przystępowania do wspólnego obszaru walutowego, to skończyłaby się dyskusja o Europie dwóch szybkości. To odwraca niekorzystny dla nas kierunek narracji o integracji europejskiej. Mamy nie tylko prawo przystąpić do wspólnego pieniądza, lecz ciąży na nas również taki obowiązek, co przesądza traktat członkowski zaakceptowany w czerwcu 2003 roku. Wtedy zdecydowana większość społeczeństwa opowiedziała się za wstąpieniem do UE na warunkach wynegocjowanych w traktacie ateńskim, nad którego sprzyjającym nam kształtem jako wicepremier i minister finansów też

pracowałem. Jeden z jego punktów mówi, że Polska powinna wejść do obszaru wspólnej waluty, gdy będzie spełniała wszystkie kryteria ekonomiczne i polityczne.

A racje ekonomiczne?

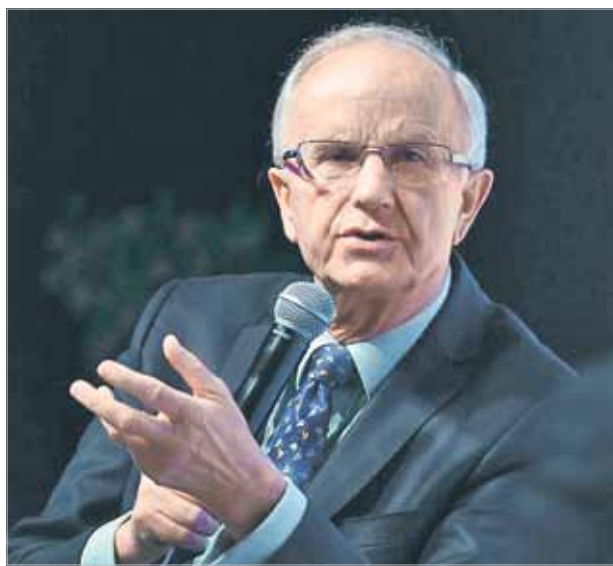
Przyjęcie euro eliminuje ryzyko kursowe w odniesieniu do olbrzymiej części naszych zewnętrznych stosunków gospodarczych. Jeśli spojrzymy, jak wahał się kurs złotego w stosunku do euro, to podczas ostatniego kwartału oscylował on w przedziale 4,25–4,40. To akurat nie tak dużo, ale może mieć miejsce – i w przeszłości nieraz tak było – duża większa amplituda wahań. Dla niejednego przedsiębiorcy znaczne wahania oznaczają ryzyko, że może on nie osiągnąć zakładanej przy wymianie zagranicznej marży zysku. A handel zagraniczny ma ogromne znaczenie, gdyż dla utrzymania wysokiej dynamiki produkcji Polska musi realizować strategię wzrostu ciągniętą przez eksport; powinien on rosnać szybciej niż produkcja ogółem, będąc jednym z kół zamachowych tego wzrostu. To ryzyko może zniechęcać do podejmowania czy rozszerzania poprzez inwestycje produkcji, bo przedsiębiorcy obawiają się, że może ona okazać się nieopłacalna. Przedsiębiorca inwestuje wtedy, gdy jest przekonany, że mu się to opłaci, a pozostając poza obszarem euro, często nie wie, jak będzie w przypadku działalności związanej z eurorynkami, bo nie wie, jaki będzie kurs walutowy.

Druga korzyść z euroizacji to zmniejszenie kosztów transakcyjnych. To obciążenie odczuwa każdy z nas, choć nie każdy sobie uźmysla, że koszty ogromnej części nabywanych dóbr i usług zawierają w sobie również koszty związane z wymianą pieniądza ponoszoną przez producentów i dostawców w fazie produkcji i dystrybucji. Włoch, kupując towar z wsadem importowym z Grecji, takiego kosztu nie ponosi, bo po drodze nie ma wymiany

pieniądza i związanej z tym marży, Polak zaś, kupując towar pochodzący z Niemiec, koszt taki pokryć musi. Koniec końców ogrom tego, co kupujemy, jest nieco droższy niż byłby, gdybyśmy mieli w obiegu euro. Koszt ten natomiast zauważa każdy, podróżując, gdy wymienia złote na euro i odwrotnie. Skrajny przypadek to wymiana na lotnisku Okęcie, gdzie na obrotach 100 euro kantor zarabia aż 150 złotych. Trzecia korzyść to niższa

choćby w Austrii czy Belgii. Pamiętajmy, że to oznacza relatywnie większe obciążenia podatkowe albo względnie mniejsze środki publiczne na inne cele, jak oświata i kultura czy ochrona zdrowia i środowiska.

Jest też czwarta ważka kwestia – inwestycje zagraniczne. Są one Polsce potrzebne, gdyż nie tylko uzupełniają niedostateczny poziom inwestycji finansowanych ze zbyt niskich krajowych oszczędności, lecz



Dlaczego aktualna władza boi się euro?

Tego do końca nie rozumiem. Sądzę, że bardziej z powodów subiektywnych i złe pojętego prestiżu niż z przyczyn logicznych. Co do NBP, to zapewne dlatego, że euroizacja minimalizuje jego znaczenie. Władze polityczne natomiast uważają, że posiadanie własnego pieniądza zwiększa naszą suwerenność, a są bardzo powściągliwe, jeśli chodzi o dzielenie się nią z innymi. Ja zaś twierdzę, że rzecz nie w złe pojętej suwerenności nominalnej, ale w rzeczywistej pozycji politycznej wynikającej z większej konkurencyjności i dynamiki gospodarczej. A to mogłoby nam poprawić przystąpienie do euro.

Czyli własna waluta wzmacnia suwerenność.

W pewnym sensie tak, bo to jest jednak narodowy pieniądz. Władza mówi: my tu rządymy, nie będzie nam zatem mówił ktoś w Brukseli czy w jakimś banku centralnym we Frankfurcie, gdzie w dodatku duże są wpływy Niemców i Francuzów, jaka tu ma być polityka. Sprowadzając jednak rzecz na grunt racjonalnej dyskusji, to, po pierwsze, polityka Europejskiego Banku Centralnego jest bardzo dobra. Trudno krytykować to, co robił Mario Draghi, prezes EBC, jeśli chodzi o sterowanie polityką monetarną w niełatwych

przecież warunkach. I z tego punktu widzenia nie obawiam się niczego złego wskutek oddania części suwerenności nad polityką monetarną do Frankfurtu, gdzie jest siedziba EBC. Po drugie, my de facto nie posługujemy się w polityce gospodarczej sterowaniem

kursem walutowym. Jest on kształtowany za wiedzą i zgodą władz przez rynkowy żywioł popytu i podaży. Tak, w niektórych sytuacjach rząd albo bank centralny próbują manipulować trochę tym kursem, zwłaszcza pod koniec roku, aby przejściowo nieco wzmocnić złotego, bo część długu publicznego, około jednej trzeciej, jest zdenominowana w pieniądzech zagranicznych, wobec tego jeśli złoty jest silniejszy – choćby tylko w sylwestra – to na koniec roku dług w stosunku do PKB, który liczymy w złotych, jest nieco mniejszy. W długim okresie kurs jest jednak całkowicie płynny i kształtuje się bez interwencji rządowych czy banku centralnego. Nie wykorzystujemy przeto kursu walutowego jako suwerennego instrumentu w polityce gospodarczej, więc ten argument też odpada, ale posiadanie złotego zwiększa dobre samopoczucie obecnej klasy rządzącej.

Gdyby była wola polityczna, ile czasu zajęłoby nam wejście do strefy euro?

To by wymagało trzech lat. Nie powinniśmy stawiać żadnych dodatkowych warunków, lecz stosować obowiązujące zasady. Gdyby obecnie polski rząd ogłosił taką gotowość, to uruchomienie określonych procedur trochę by trwało, potem trzeba byłoby poczekać dwa lata, śledząc jak się będzie kształtował kurs i czy spełniamy wszystkie kryteria. Czyli władza PiS, która utrzymuje się u sterów rządu po ostatnich wyborach, ma szansę dotrzeć do następnych wyborów, wprowadzając euro i czyniąc z tego element swojego sukcesu gospodarczego. Ciekawe, czy wpadną na ten pomysł...

Grzegorz W. Kołodko, /©© profesor ekonomii, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, członek Europejskiej Akademii Nauk, najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista

Pełna wersja rozmowy www.ekonomia.rp.pl